

Zdziwienia w kadrze zatrzymane



Tych kadrów jest niepoliczalna ilość. Na księgę, a nie na trzy stroniczki. Bornholm to przypadek. Jesteśmy z córką Mają w Międzyzdrojach. Kołobrzeg niedaleko. Dobra. Płyniemy „Jantarem” na Bornholm. Wycieczka objazdowa. Zapamiętałem, że przewodnik nadużywał słowa interior. Reszta to mętlik w głowie, bo na tak małej wyspie, w tak krótkim czasie trzeba tak wiele zobaczyć. Za wiele. Majka, musimy to sobie poukładać. Przyjedziemy na dłużej. Jeździmy więc w ten zupełnie inny świat. Ciągłe nam mało i nieustannie odkrywamy coś wspaniałego.

Kadrów zdziwień jest na serial tasiemcowy „Samo życie” czy inny „Klan”.
Przepraszam Cię Bornholmie za tak durne porównanie. Wybacz. Jakoś to musiałem unaocznić.

Pierwsze spotkanie z Balką. Plaża jak plaża, ale żeby leżeć na wydmach? I nikt nie goni, mandatów nie sypie. Po prostu wolno. A w ogóle to mieszkamy tuż przy tym drobnuteńkim piachu. Przechodzimy obok toalety zwanej u nas publiczną czyli cuchnącą. Zajrzę. Majka zobacz, mógłbym tu zamieszkać. Tak czysto i pachnąco. Na plaży Maja chowa się w dziurę wydmy. Ja do morza. Idę, idę, idę... Brzeg daleko, a dno ciągle pod nogami. Woda kryształowa. Cholera, to ten sam Bałtyk co w Polsce? Trochę pływam, ale zaraz wracam po maskę, fajkę i płetwy. Pedaluję w morze. Dno na wyciągnięcie ręki. Piękny żółty piasek. Nurkuję. Do tego dna jest kilka metrów. Jezuuu, to naprawdę Bałtyk? Niedaleko przeogromna plaża w Dueodde. Tu wszędzie jest blisko. Nawet do latarni morskiej przy tej plaży. Kiedy byliśmy tam pierwszy raz, na dole wisiała sobie skrzyneczka na kasę za bilety. Nikt nie pilnował. Teraz coraz więcej Polaków. Ja tam niczego nie sugeruję.

Lubię wcześniej rano popływać. Nago. A tu nagle pojawiają się miejscowi. Pozdrowienia. Jakbyśmy spotkali się w sklepie. Tyle, że nago. One i oni też zrzucili szmatki. Na nikim nie robi to wrażenia.

Przy drogach często można spotkać takie małe budki, albo zwykłe stoliki. Na nich warzywa, owoce, jakieś starocie, które w dużych ilościach są także na targach i w antykwariatach. Na stoliku, przy szosie, leżą napisane ceny. Płacisz, bierzesz i masz. Nikt nie pilnuje. Tu ci wierzą. Na prywatnych polach namiotowych też. Jest tam zgrzebnie, ale niesamowicie tanio. Niedaleko doliny Kodal, na skraju Paradisbakkerne, czyli Rajskich Pagórków porośniętych lasem, przez parę dni mieszkaliśmy w namiocie. Na koniec pobytu

należało zapłacić. Poszliśmy na dół. Przed drzwiami domu właściciela pola stał słoik. Koło niego kartka z ceną. Wrzuciliśmy korony i w drogę.

Kiedyś na starym ryneczku w Aakirkeby, niedaleko spacerujących gęsi z brązu, zostawiliśmy przeróżne bambetle i rowery. Rzykowaliśmy? Nie. Wróciliśmy wieczorem, a wszystko stało i leżało nadal. Myśmy, po dawnym zdziwieniu, po prostu już teraz wiedzieli, że tak można. Na Bornholmie żyje się wolniej i ucziwie.

Do Nexo z Balki jeździła sobie kiedyś kolejka. Pociąg już nie kursuje, ale jest piękny i długo prosty asfalcik. Zdzieram tam rollery, aż furczy. Wielka frajda. Ludzie na rowerach. My też pewnego dnia wsiadamy na bicykle. W Nexo po ulicy strach jechać. Nawyk z Polski. A tu się okazuje, że my paniska jakies. Samochody omijają nas z daleka, nikt nie trąbi i nie bluźni. Ba, ustępują nam pierwszeństwa choć znaki pokazują, że go nie mamy. Szok.

W Ronne przemierzamy bruki starego miasta. Domki jak z bajki, a jeden to już w ogóle taki malutki, maluteńki. Idziemy podziwiając koloryt ścian, okna bez zasłon i przeróżne cacuszka, bibeloty w tych oknach. Ludzi na uliczkach prawie nie widać. Stajemy się częstką dawnej historii. Mam wrażenie, że za chwilę wyjdzie z za rogu sam mistrz Andersen, który opuścił swą ławeczkę w Kopenhadze.

Co rusz próbujemy zgłębiać tajemnice Bornholmu. Potrzebne do tego nie tylko chęci, ale także jakaś wiedza teoretyczna. Mapy, przewodniki, foldery, ulotki... Majka już się na mnie wnerwia, że wpadam do różnych informacji turystycznych na wyspie. Zwykle wynoszę po kilka egzemplarzy czegoś tam. Po niemiecku, angielsku, duńsku. Czemu nie po polsku? Bo rzadko na coś trafię. Mało tego wszystkiego, czy nasi turyści już zabrali? Polacy, bez wątpienia chcą was tutaj, ale ucicie się języków. Oj, ucicie.

W kraju kupiłem przewodnik Marcina Jakubowskiego. Mam drugi egzemplarz, bo pierwszy został zaczytany. Tam właśnie znalazłem informację, że łagodny klimat Bornholmu i doskonałe nasłonecznienie sprawiają, iż w przydomowych ogródkach rosną drzewka brzoskwińowe, morwy oraz figi. Czytając, przecierałem oczy ze zdumienia. Jak zobaczyłem na wyspie dorodne figi, to zdumienie było jeszcze większe.

Bornholmery czyli przepyszne, ciepłe, pachnące, świeżo wędzone śledzie, najlepsze w Hasle. Przynajmniej ja tak twierdzą. Choć są na całej wyspie. Zajadam się nimi. W Polsce nie jem ryb, które nie są filedami. Wiadomo, ości. Na Bornholmie jakies inne, czy co? Chyba inne te ości. Tu ich się nie boję. W Hasle wędzarnie na górze, potem klifowy brzeg, bardzo wąska kamienista plaża i morze, a w nim skałki, a na nich niezliczone ilości ptaków. Pod schodami zejścia nad morze, trzymam cegłę. Kiedyś zostawiłem, żeby wrócić. Taką najzwyczajszą, wygładzoną przez fale. Co roku wiem, że muszę ją zobaczyć. Nie mówcie o tym nikomu. Nie zabierajcie mi tej cegły. To moja największa tajemnica Bornholmu.

Majka uwielbia Svaneke, a ja swoje Gudhjem. Jej miasteczko przepiękne, ale tak się z nią droczę. W Svaneke podglądamy jak ręcznie robią cukierki, albo „wydmuszki” ze szkła. W ogóle na Bornholmie królują rękodzielnictwo i artystyczny wszechobecny klimat. W Gudhjem zaglądam do muzeum Olufa Hosta. Stojąc na ulicy widzę niedaleko starą wędzarnię, którą lubił malować. Spotkaliście kiedyś konny tramwaj? Jechaliście nim? My zawsze jeździmy. W Svaneke. Gudhjem to miejscowe, wspaniałe lody. Nie jakieś tam przereklamowane Krolle Bolle – choć też dobre. Gudhjem ma górę, a u jej stóp całe miasteczko, niczym z kolejnej baśni Andersena. Malarze mają tu swoją przystań z szerokim widokiem na domy i morze.

Moja porażka to Hammershus. Największe w Skandynawii ruiny średniowiecznego zamku. Potężna przestrzeń. Spore wywyższenie. Strome i wysokie brzegi morskie. Dech zapiera. Ze strachu? Nie, z zadziwienia. Dlaczego porażka? Wiele razy się przymierzałem, żeby zrobić pod słońce zdjęcie ruin. Ogromne czarne mury, promieniujące okna. Ciągle nie jestem zadowolony, więc nadal tam wracam.

Kiedyś przyprawiamy na wyspę katamaranem z Kołobrzegu. Leje niesamowicie. Jakiś starszy pan rozmawia z Mają. Nazywa się Fleming, obserwował nas i spodobał się, więc nas zaprasza do siebie. Za darmo. Grzecznie dziękujemy, ale mamy inne plany. Nic z tego. Przyjeżdża żona, nasze rowery przyczepiają do samochodu. Byliśmy goszczeni prawie dwa dni. Urocze miejsce, gdzieś w górę od Saltuny, a ludzie z sercem na dłoni.

Ciągle się dziwimy. Choć już coraz mniej. Raz jednak zdziwiła się pani w sklepie. Wśród pięknych nowych, nieoficjalnych flag Bornholmu – takich z zielonym krzyżem - stała jedna niesamowicie wypłowiała. Właśnie tę chciałem. Pani aż kręciła głową. Dostałem za symboliczną cenę.

Oboje z Majką zakochaliśmy się w tej wyspie od pierwszego obejrzenia. Dla nas to udane spełnienie w poszukiwaniu swego miejsca. Kocham Bornholm. Na prawym ramieniu zaświadcza o tym tatuaż. Z tyłu na fotce widnieją domki. Z Mają zbieramy dokumentację Bornholmu odbitego w tamtejszych oknach. A w Svaneke znów zachodzi słońce ☺

Andrzej Szopiński-Wisła

